

Ex Varsavia lux!



(r) Bogate okręgi przemysłowe Królestwa polskiego zdołały wytworzyć już samoistne życie handlowo-przemysłowe bijące żywym własnym tętnem. W potężnych ośrodkach przemysłu, w miastach rojących się ludnością dochodzącą do cyfry pół miliona, życie kulturalne i towarzyskie nie ma własnej fizjognomji, lecz jest martwym odbiciem Warszawy.

W kwitnących, pomniejszych miastach Zachodu, niedorównywających cyfrą, ludności naszej Częstochowie, czy Sosnowcu, płynie życie ujęte w własne karby wytworzone lokalnymi potrzebami. Prasa i sztuka jest wyrazem odrębnych celów i dążności zróżnicowanych, warunkami społecznymi i charakteru danego miasta.

Określenie, prowincja nie jest synonimem, zapadłego zaścianku, lecz oznacza odrębność terytorjalną o własnej kulturalnej fizjognomji, zaznaczonej częstokroć barwą djalektu.

Zależność kulturalna miast prowincjonalnych od stolicy zawisła jest od siły wytwórczości przemysłowej i stopnia kultury.

Luźność więzów społeczno-oświatowych, brak organizacji obywatelskich powstałych na podłożu rozwijających się miejscowych potrzeb powoduje niewiarę i nieufność w własne siły i oglądanie się na pomoc stolicy.

Prasa w tych warunkach jałowiej wśród ideowych sporów... o abonentów i miast koić rany, obniża wartość drukowanego słowa, gorsząc małostkowością i ordy-

naryjnością tonu, tam gdzie pełnić winna obowiązek Westalek i Druidów.

Słusznie biada w tej sprawie, publicysta Leo Belmont w uczciwie i z troską o dobro społeczeństwa prowadzonym dzienniku prowincjonalnym „Gońcu Zagłębia”.

„Chcę mówić o kłątwie, która wisi nad całym naszym życiem prowincjonalnem.

Tą kłątwą jest, że — prowincja nie żyje samodzielnym życiem kulturalnym, bo zbyt ufa Warszawie.

Kiedy widzi się kwitnące miasta prowincjonalne Niemiec, lub Francji z ich bujnym życiem z własnymi wybornymi gazetami, pilnującymi ważkich samodzielnego interesów lokalnych, z mnóstwem środowisk—przybytków zebrań publicznych, z zamożnymi teatrami i filharmonjami, z bibliotekami, muzeami, wzorowymi szkołami, z obywatelstwem, strzegącym swoich praw handlowych i kulturalnych, jako odrębnego tonu w harmonji całości rozwoju narodowego — to wtedy czuje się, że prowincja zagraniczna żyje, ma tętno własne, którego nie zagłusza mocniejsze z natury rzeczy tętno życia w centrach.

U nas... jak gdyby przyjęto za prawo, że prowincja musi vegetować, a żyje się tylko w Warszawie. Mówiąc „nasza kultura” — nie myśli się nigdy o prowincji.

Tak! -- przejrzyście tylko z uwagą pisma warszawskie i obaczcie, ile razy piszą one o troskach i sprawach prowincji. O szpiegu Redlu, o hrabi Ronikierze, znajdziecie setki wierszy; o miastach prowincjonalnych — nie ma nic, chyba w kronikach zbrodni. Fran-

cuska farsa więcej interesuje prasę Warszawską, niż interesy takich przemysłowo-handlowych centrów, jak Łódź i Zagłębie. Obaczcie pisma prowincjonalne w archiwach naszych redakcji; nie noszą one śladów ręki ludzkiej, nie dla tego, aby te były tak czyste, lecz że nie bierze się tu do rąk nawet najmocniejszych, ożywionych duchem organów prasy prowincjonalnej — Kurjera Lubelskiego i Łódzkiego.

Więc, że śpiące organy prowincji nie zaciekawiają śpiących braci w Warszawie, to już rzecz prosta.

A ten sen prowincjonalny pochodzi stąd, że prasa prowincjonalna wciąż ogląda się na obierzyny Warszawki i wzoruje się na niej.

Czas byłby pomyśleć o stworzeniu samodzielnego kulturalnego życia na prowincji. Czas byłoby wiedzieć, że zamarłe tętno umysłowego życia w Warszawie, ani nie może być wzorem dla prowincji, ani usprawiedliwieniem jej dumnego spokoju że i „mamy kulturę... w Warszawie!”.

Bo Warszawa współczesna, która ma 39% analfabetów — mężczyzn i 42% analfabetów kobiet — która ma ledwie 0,86% ludzi zajętych w sztuce, w literaturze, prasie i nauce, która w niedzielę daje nam widok groźny próżniaczej masy, w ogrodach bez pism i polskich książek w rękę, ludności żydowskiej, która posiada ledwie 12% ludzi z wykształceniem średnim i wyższym — Warszawa dzisiejsza, w której Niemcy mają 15% takich a Rosjanie, pomimo, że większość składają tu prości żołnierze, ma 14% ludzi, którzy ukończyli szkoły t.j. przeciętnie więcej, niż ludność rdzenna — ta rozteatrzona, rozkinematografowana, rozkawiarniona, rozbagatelizowana, płaska i obojętna na wszystko, co jest cierpieniem, ta współczesna, upadła Warszawa nie może być wzorem dla prowincji.

Czas wielki — nie oglądając się na Warszawę, spotęgować zapoczątkowane przez lepsze żywioły prace, ku wyznaczeniu samostnej kultury, czas wzmocnić tętno nowego życia!.

Cztery zwrotki o miłości.

Teatr Polski. „Anatol”, przez Artura Schnitzlera. Cztery zwrotki o miłości.

Czy znacie cztery popularne zwrotki o miłości, śpiewane na przedmieściu? Czy słyszeliście kiedyś owe cztery prawdy proste i smutne, ustrojone w zwiewną szatę swawolnej melodji? Zapewne niejednokrotnie już słyszeliście piosenkę o tem, jak krótka i przemijająca jest pamięć w kobiecie i o anemicznej tęsknicy dziewcząt, skrepowanych przez konwenans wielkoświatowy, o kłamstwie ucziwem i kłamstwie zaprawionem trucizną podłości, o zawiedzionej miłości... Jest w nich lekka warstewka cynizmu, powleczone mądrością, którą wykołysała znieprawiona dusza wielkiego miasta, dusza zepsuta i sprzedajna, lecz tak czasem zagadkowo i melancholijnie uśmiechnięta... Nie znajdziecie w niej kruszczów istotnego uczucia i żadna jej struna nie zadzwięczy głęboką nutą wielkiej namiętności.

...Drogocенność swą zmieniła na grosze przelotnych miłostek, żądę poznania na powściągliwą ciekawość, która niekiedy staje się zwykłym sportem, czemś w rodzaju arystokratycznego zamiłowania do dobrych cygar, wina, a nawet i... sztuki. Roztacza swe seledynowe, bezsilne skrzydła nad metropoljami świata; wzrokiem ślizga się po morzu dachów, pod którymi gnieździ się słabość i bezbarwny grzech, przesył i znudzenie. Jest duszą współczesnych Babilonów, z których Wiedeń hulaszczy i napozór

beztroski, sentymentalnie, zda się zasłuchany w ton walca, wciela ją niewątpliwie i może... najwyraźniej. Ma ów Wiedeń swych poetów, opiewających czar przedziwny jego moralnego upadku zrosłych z nim nierozdzielnie, tak jak on żyjących w sztucznej atmosferze modnych kawiarni, kędy nowoczesne mieszczaństwo obchodzi nieustające święto zmysłowego używania, które w przedwieczny już ziewa, a o północy krzesa gorączkowy „stimmung“, w blasku elektrycznych świateł, roziskrzonych zwierciadeł i źrenic szeroko otwartych, błyszczących pustym blaskiem fałszywych klejnotów... I tylko czasem, do sali kawiarnianej, w chwili gdy noc przesila się już w dzień, doleci przez otwarte okna pieśń uliczna, i nagle zamyślenie splywa na przemęczone mózgi, na chwilę jeno, na jedno mgnienie oka... Śpiewa ją Piotr Altenberg, poeta nocy bezsennej, krótko lecz wieloznacznie i śpiewa też Artur Schnitzler, pesymistyczny szopkarz myślących marjonetek, mistrz subtelných konfliktów, urywanych fragmentów, wykrojonych umiejętnie wprost z życia... „Życie?“ Cóż to jest życie? — pyta jeden z bohaterów Schnitzlera. — Jaki nie wiesz? życie to pułapka! — odpowiada przyjaciel — a zresztą chodźmy pić“...

Ale takiego pytania nigdyby nie zadał Anatol, którego oglądaliśmy ze sceny teatru Polskiego. Anatol wyrósł już z tego wieku, kiedy się zagłada tajemnicy prosto w oczy. Anatol

młodość swą trwonił w absolutnej obojętności na sprawy, dotyczące abstrakcyjnych zagadnień. Ale jednak nie jest on banalnym złotym młodzieńcem i ślizgając się po powierzchni życia, zatrzymywał się nieraz ze wzrokiem utkwionym w tę przestrzeń, które już przebył. Niewątpliwie jest on człowiekiem myślącym i subtelnym obserwatorem. Schyla się nad każdym kwiatem miłości, dopiero co zerwanym, przygląda mu się z rozczuleniem i... odrzuca precz. Nazbyt szybko przeskakuje myśl Anatola z przedmiotu na przedmiot. Zbyt łatwym i nieskomplikowanym jest on myślącym. Psyche wielkomięjskiego viveur'a ma tak samo modnie rozczesany przedział, jak jej cielesna powłoka. W monotonnym biegu podobnych do siebie dni, Anatol skraca sobie czas, między jedną schadzka a drugą—filozofowaniem, w guście niedzielnych feljetonów z „Neue Freie Presse“. Lekka zmarszczka zadumy na czole wnet wygładza się. „Jak można przywiązywać intelektualną wagę do własnych przeżyć“. Oto słowa Maksy, starszego przyjaciela największego z snobów — Anatola. To samo powie kiedyś Anatol, później, nieco później, gdy młodość jego odśpiewa owe cztery zwrotki o miłości. Ale tymczasem płonie w nim marzycielstwo snoba, a wrodzona wrażliwość (z którą tak mu do twarzy!) nie zdążyła jeszcze stępieć! Zdążyły w nim się odbić cztery wyszminekowane oblicza i odpowiednia reakcja odbyła się w porę.—Z pomiędzy mnóstwa miłostek, jedna została w nim głębszy ślad, jakieś słodkie wspomnienie wieczoru, gdy ampla siała na pokój barwne światło, a on czuł prawdziwe, gorące kochanie, płynące z duszy zwykłej cyrkówki? Czy tak było w istocie? Nie! — chichocze pierwsza zwrotka o miłości i Anatol cofa się z przerażeniem, na widok prawdy. A innym razem w jego cyniczne szyderstwo z dam, należących do „towarzystwa“, wgrzyzła się odpowiedź młodej dziewczyny, takiego sobie zwykłego „dziecka salonu“: „I jabym też potrafiła kochać, tak, jak te pańskie dziewczęta z ludu, tylko do takiej miłości... brak mi odwagi“.

Znów Anatol rozgląda się w zdumieniu. Ujrzał Nieznane. To druga zwrotka... Kiedyindziej znów, jest na kolacji z kochanką:

— Przynajmniej sobie, że gdy jedno z nas zakocha się w kimś innym, to natychmiast wyzna to drugiemu.

— Anatonu... zakochałam się dzisiaj!

— Czy dopiero od dzisiaj jesteś zakochana? Przynaj się?

— Przysięgam ci, że dopiero od dzisiaj. Nie zdradziłam cię dotąd.

I wtedy budzi się w Anatonu zwierzę. Dwie zwrotki miłosne prze-

mlewały o niem, aż nareszcie samo dało znać o sobie. Wówczas w kulturalnym zbieraczu miłosnych wrażeń, buntuje się samiec, którego miłością wzgardzono.

— Ha! ha! Dowiedz się, że i ja byłem nieuczciwy względem ciebie, zdradzałem cię wciąż, na każdym kroku. Ani przez jeden dzień nie byłaś moją wyłączną kochanką.

A wtedy „ona“ ciska mu w twarz:

— Tak podły może być tylko mężczyzna. Bo ja ci o *tem* nie powiedziałam. Staralam się ukryć przed tobą to, że cię również zdradzałam!!!“

Zdaje mi się, że odtąd Anatol wzbogacił się o jeszcze jeden paradoks: *kobieta kłamie uczciwie, a mężczyzna podle*.

Czy to tylko chciał powiedzieć Schnitzler w swej sztuce? Czy chichocząc zjadliwie, pragnął ukazać smutną treść zjawisk, czy też w mgłę sentymentu usiłował pokazać komizm, bezlitosny, tragiczny komizm, kryjący się na dnie wszystkich rzeczy?

Należy spytać o to Anatola. Natura obdarzyła go dziwaczną skłonnością do nawleknięcia paciorków przeżytych wrażeń na nie niewymyślną refleksji...

...A może sam on jest paciorkiem, nawleczonym przez swego twórcę na nitkę beznadziejnej zadumy nad straszną komedią duszy ludzkiej, na purpurową nie smutnej satyry, stworzonej w godzinę goryczy i zwątpienia?

Jakób Appenzlak.



Fr. Stuck.

„Niewinność“.



Fr. Stuck.

„Portret dziewczynki“.

FRANCISZEK STUCK.

Nad bystrą Izarą przy prawdziwie królewskiej ulicy, którą przedziwny, ukoronowany poeta, Ludwik II, ozdobił monumentalnymi gmachami, jak bawarskie muzeum narodowe i teatr Wagnerowski, w pobliżu kolumny wznosi się wśród krzewów i zieleni rzymska willa Franciszka Stucka.

Syn młynarza z bawarskiej wioski Töttenweiss, jako 16-letni chłopiec pojechał bez środków utrzymania do Monachium i tam talentem, pracą i wytrwałością dobił się uznania i majątku. Młynarczyk z Töttenweiss, dziś jest ulubionym gościem królów i książąt, jako „par inter pares“, chlubą współczesnych Niemiec.

Rozwój i charakter twórczości Stucka, kłam zadaje teorjom Taine'a i doktrynerom dziedziczności i rasowości. Stuck, chłop bawarski, wystąpił na wystawie weneckiej „Mostra individuale“ i zaćmił swym latynizmem włoskich artystów. Stuck stał się jednym z najbardziej popularnych artystów we Włoszech, które z zazdrością spoglądały na dzieła bawarskiego górala, wyrosłe z ukochania sztuki Rzymu, Pompeji i Aten.

Stuck i Böcklin znaleźli zagubione na ziemi włoskiej tony syryngi i zanucili baskich pieśń orgji zmysłowej, transponując muzykę klasyczną na polychromję modernistyczną.

Sztuka klasyczna stała się tworzywem Stucka, bez ciasnych filologicznych i archeologicznych więzów, oddziaływując nań w ten cudownie podniecający sposób, jak na artystów Odrodzenia.

Stuck znajduje piękno pompejskich fresków ściennych i czasów Quattrocento. Subtelny profil portretów Ghirlandaja i bujność kolorystyki weneckich Cinquecentistów, soczysta zmysłowość Rubensa i wytworność Velasqueza.

Stuck wskrzesza klasycyzm jako współczesny artysta, z poczuciem łączności wątków i problemów malarskich klasycznych epok.

Powierzchni krytycy wnikający bardziej w tytuły obrazów, niżli w istotę twórczości Stucka, nazywają go epigonem Böcklina, przysądzając mu z tego tytułu popularność.

Böcklin jest malarzem krajobrazu, Stuck kompozycji figuralnych. U Böcklina ciało ludzkie jest dekoracyjnym dodatkiem do krajobrazu, u Stucka figura jest alfa i omega, wszystko inne apazycją.

Współczesne Niemcy a zwłaszcza bliższa ojczyzna Stucka, w której urodził się i wzrósł do dzisiejszej wielkości, Bawarja, dumne są z twórczości artysty, posiadającego europejski rozgłos i uznanie.

Marjan Dienstl.





Fr. Stuck.

„Pallas Atene“.



Fr. Stuck.

„Wiosna“.



Fr. Stuck.

Studjum portretowe.

Wystawa Kijowska.

(Dokończenia.)

W dziale rozrywek: menażerja, „djabelski pokój“ zagadkowo dotąd zamknięty, labirynt bynajmniej nie straszny, cztery orkiestry, notabene—„Dobrze sobie rzepkę skrobie“ popisy akrobatów, koncerty symfoniczne, wielkie słowo — treści mniej — oraz dział kabaretowy w restauracji.

Stanowczo ciekawsze są wnętrza pawilónów, nawet w obecnej chwili; od wejścia po lewej stronie wznosi się duży gmach piętrowy szkolnictwa miejskiego. Uprzejmy nauczyciel czteroklasowej szkoły im. Cesarzewicza Aleksieja, oprowadza i objaśnia z przejęciem się i zapalem. Czuć w nim pedagoga, któryby chciał zrobić dużo—więc też szkoła jego wyróżnia się wśród innych jedno i dwuklasowych ogromną teżyzną i świadomością celu. Prace uczeni w dziale rysunkowym przedstawiają się wysoce interesująco—nie brak widocznych zadatków talentów i rozwinięcia intelektualnego. Świadczą o niem ćwiczenia piśmienne, zbiory przyrodnicze, karty geograficzne—wreszcie bogato wyposażony gabinet fizyczny mówi pochlebnie o dążeniach kierowników. I między tym zarysowuje się różnica w zestawieniu ze szkółkami małomiasteczkowymi lub wiejskimi. Gdy Kijów daje elementarnym swym szkołom specjalistów-malarzy—w tamtych uczy rysować każdy, kto się trafi, choćby sam nie miał pojęcia; a rezultat łatwy do odgadnięcia.

Obok szkół elementarnych miejskich, w tymże gmachu mieszczą się ekspozycje szkół rze-

mieślniczych Kijowa, Berdyczowa, Kamieńca-Podolskiego i wielu innych. Gustowne meble, narzędzia gospodarcze, rolnicze wcale dodatnio reprezentują tę gałąź nauki na kresach. Ceny przystępne powinny zachęcić do kupna i przyczynić się do rozwoju krajowego przemysłu.

Z pośród gimnazjów męskich i żeńskich, które gościnę znalazły w Muzeum Pedagogicznem—nie na terenie wystawy—największą ilość ekspozatów wystawiło gimnazjum siódme męskie, pierwsza szkoła realna i gimnazjum żeńskie W. Peretjatkowiczowej, Duczynskiej, Żekuliniej i t. d. Wśród szeregu modeli roboty uczniów zwraca uwagę model obozu rzymskiego—dzieło II-go gimnazjum.

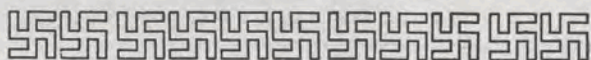
Prawdziwy zjazd na wystawę przewidywany jest w połowie sierpnia starego stylu, w czasie wystawy koni i zjazdu hodowców.

W tym to czasie zapowiedziano pierwszą rosyjską *olimpiadę*, wezmą w niej udział na wzór igrzysk olimpijskich innych krajów, wszyscy miłośnicy sportu. Trwać będzie dni 10. Na program jej złożyc się ma: lekka atletyka, wyścigi piesze, zawody oddziałów, zawody kombinowane, walki, ćwiczenia z ciężarami, wyścigi na rowerach, gimnastyka, pływanie, fechtunek, jazda kona i t. d. Odbędzie się też konkurs strzelania, opracowany według programu igrzysk w Sztokholmie. Ogólne zebranie Komitetu olimpijskiego zatwierdziło model medalu. Podczas igrzysk urządzony będzie również konkurs gry w foot-ball o pierwszeństwo, z udziałem przedstawicieli 15 miast, wchodzących do związku foot-balistów, Teren jeszcze niezdecydowany.

Ciemną plamą wystawy kijowskiej jest dotąd i bodaj, że nią zostanie w pamięci na zawsze—brak komunikacji na terenie, Naprózno komisja specjalna zbiera się wciąż i radzi—sprawa nie posuwa się wcale naprzód, część ułożonych szyn uraga zrozpaczonym nogom, chodnik ruchomy przeniósł się w dziedzinę mytów, w które nikt nie wierzy, a tramwaj, choć jest na planie—nie zdradza niczem swego pochodzenia...

Przysznicem z zimnej wody był wydany przed kilku dniami, dziś—już cofnięty—zakaz używania języka polskiego przez służbę w restauracji i wystawców. Zakaz nie oparty na żadnym obowiązującym prawie, spotkał się z protestem nie tylko naszym, ale nawet reprezentantów zagranicznych wystawców—dziś też wspomniany jest jako owoc niepokoju „Kijewlanina”, który wszędzie i zawsze węszy polską intryge i obawiał się o „spolszczenie“ wystawy, wobec tego, że prezesem jej jest „graf polski“ i że na trzy tysiące eksponentów—400 znajduje się Polaków! A może najbardziej niepokoją inorodców kapitały polskie, które stanowią 60% w ogólnej sumie udziałów Komitetu wystawy. Strach ma wielkie oczy!

Kijowianin.





TEATR NOWY.

(d) Dyrektor Śliwiński, niemający z zasady zaufania do polskiego krotochwilnego humoru, spróbował w swej znakomitej francusko-amerykańskiej ekspozyturze farsy, wystawić oryginalny jednoaktowy utwór Włazaleskiego p. t. „Struś”. Wybór sztuki i wykonanie zawiodły.

Temat wzięty z „Grand Guignol”, opracowany powierzchownie, zatracił wartość satyrycznej groteski, a biorący udział artyści poraz drugi dowiedli, iż tonu w tej sztuce teatru okropności nie pojmują.

Natomiast starannie wystawiony „Mąż z loterii” jest kaskadą humoru i sentymentu. Amerykański autor Johnson Joung, zajmuje przez trzy akty uwagę widza rekordowymi pomysłami i Dickensowską charakterystyką działających osób. „Mąż z loterii” należy do najlepszych fars granych w bieżącym roku.

P. Osterwa dbający o szczególności gry i wystawy, jako reżyser wykazał na nowym stanowisku artystyczną odpowiedzialność. Krok dyrekcji powierzenia stanowiska reżyserji młodej sile, zasługuje na uznanie.

Gra artystów, p. Leszczyńskiej, p. Bogusławskiej, p. Ireny Renard była przepyszna. Wystawa skromna, lecz staranna.

Popis szkoły śpiewu p. S. Dobrowolskiej.

W sali ratuszowej d. 28 czerwca wieczorem odbył się popis szkoły śpiewu p. S. Doliwa-Dobrowolskiej. Szkoła ta rozwijała się w ciągu dwóch niespełna lat w ciszy i spokoju. Żadnej reklamy, żadnego sztucznego rozgłosu nie miała przedwcześnie.

Na widnokręgu sztuki w Warszawie zjawiała się niespodzianie młoda profesorka, p. S. Doliwa Dobrowolska, artystka operowa, która, po skończeniu studjów wokalnych występowała z dużym powodzeniem na scenach włoskiej i warszawskiej. Natura nawskroś muzykalna wpływa nadzwyczaj dodatnio na młode talenty poświęcające się nauce śpiewu.

Popis zaświadczył publicznie o wyjątkowych zaletach nowej uczelni śpiew w Warszawie.

Cechuje ją wysoko kultura artystyczna oraz wysoka umiejętność fachowa.

Publiczność, oceniając znakomite rezultaty działalności szkoły, zgotowała jej kierownicze pełne zapału przyjęcie.

Z.

„Złoty strajk“.

W południowo - afrykańskich kopalniach złota wybuchł parę tygodni temu strajk kopaczy złota. Bezpośrednim powodem

było nietaktowne postąpienie administracji jednej z kopalń, która wprowadziła do sztolni robotników nie należących do związków robotniczych. Przyczyn zaś szukać należy w całym szeregu nieporozumień na zbliżonym tle.

Strajk ogarnął narazie, tylko białych robotników. Było to wprost szczęściem, że czarni górnicy nie przyłączyli się do ruchu, gdyż samą ilością swą staliby się groźni dla panującej rasy białej, rozruchy jednak strajkowe były tak poważne, że gubernator Johannesburga, lord Gladstone, uważał za konieczne użyć siły zbrojnej.

Padło, lub też ciężko rannych było około 300 górników i rozgorzenie ogarnęło coraz szersze koła. Tchórzliwsi już przewidywali rewolucję, lecz znalazł się człowiek, który pośrednictwem swem załagodził zatarg. B. generał boerski, Booth, wy mógł na zarządach kopalń ustępstwo, w pierwszej linii zaś usunięcie górników niezwiązkowych. Usuniętym rząd wypłaci odszkodowanie.

Górnicy wrócili do pracy. Tak się skończył strajk, który groził przesileniem wszechświatowem niemal. I mimowoli przychodzi na myśl strajk łódzki.

W Łodzi niema nikogo z kimby się fabrykanci liczyli i niema przedsiębiorców, rozumujących potrzebę zgody.

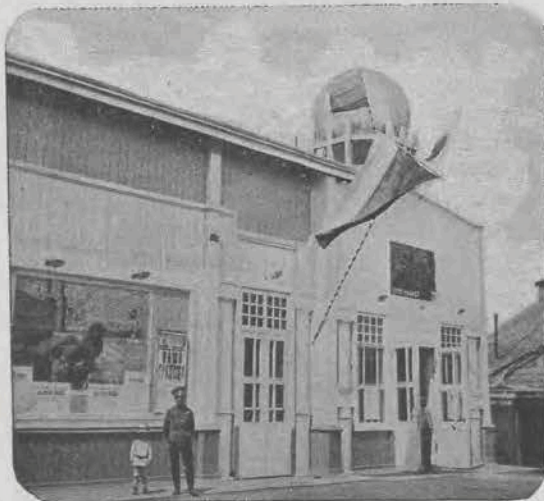


Główna ulica w Johannesburgu (Transwaal).

NA OBCZYŹNIE.



Kościół rzymsko-katolicki w Tomsku.



„Quo vadis“ w kinematografie w Tomsku.



Okropności wojny. Szpital w Salonikach zdemolowany przez Bułgarów.

Niema bodaj zakątka na kuli ziemskiej, gdzieby nie było polaków, niektóre zaś miejscowości, jakkolwiek znacznie oddalone, posiadają liczne kolonie polskie, w części dobrowolnych, w większości przymusowych osadników.

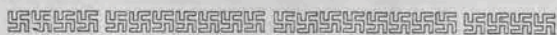
Do miejscowości takich zaliczyć należy Tomsk. Posiada on liczną kolonję polską, skupiającą się koło kościołka i związanych z nim instytucji. Kościółek niewielki, lecz, jak widać z załączonej fotografii, estetyczny, wzniesiony jest na wzgórzu w śródmieściu, tak, że panuje nad całym miastem.

Cmentarz kościelny wysadzony jest drzewami, co latem przedstawia miły widok, dla niemieszczących się zaś w kościele stanowi to zadrzewienie ogromną wygodę.

Przy kościele, a raczej przy parafji istnieje katolickie Tow. Dobroczynności, założone przez b. proboszcza miejscowego, ks. Żyskara. Towarzystwo utrzymuje ochronkę dla dzieci, przytułek dla starców, bibliotekę czytelną — słowem jest ogniskiem życia kolonji polskiej.

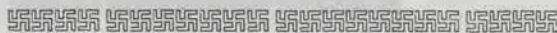
Sklada się ona z najrozmaitszych żywiołów. Przymusowi osiedleńcy z przed półwiecza i późniejsi, aż do okresu „wolnościowego“ i żołnierze, przysłani do pułków miejscowych, stanowią przeważającą część, pozatem jest sporo polaków urzędników, paru lekarzy i prawników, których do Tomsku zapędziła pogoń za zarobkiem. Ci ostatni nie zbyt się kwapią do współżycia z resztą kolonji polskiej.

Widowisk polskich, oprócz urządzanych corocznie „Jasełek“ polacy tomscy nie mają zgoła, to też ogromną przyjemność sprawiło wszystkim przedstawienie w jednym z kinematografów, iluzjonie „Globus“, przeróbki Sienkiewiczowskiego „Quo vadis“. Sława polskiego autora dotarła już była do Tomska, obecnie zaś mieszkańcy jego mogli podziwiać je na ekranie i słyszeć pochlebne zdania nawet niechętnych.



Odpowiedzi Redakcji.

P. Z. Iwiczowi. W „Ulewie“ znać szczerzy talent i bogactwo wyobraźni. Ale jest to rzecz, posiadająca wszelkie wady pierwociny twórczej; znać, że autor jej, niepewnym jeszcze krokiem stąpa przed siebie. Proszę się nie zrażać tem, że „Ulewy“ nie wydrukujemy. Mamy niepionną nadzieję, że w przyszłości nadeśle nam Sz. Pan rzeczy nieskończenie lepsze i w glejt dojrzałości artystycznej zaopatrzone. — Rękopis do zwrotu.





Femina

DOBROCZYNNE POMYSŁY MODY.

Wiadomem jest i ogólnie uznaniem, że „Moda“ jest władczynią despotyczną, że miewa najdziwniejsze i niczem niesprawiedliwione fantazje, zachcianki, kaprysy a nawet wybryki dziwaczne i jakby chorobliwe. Najczęściej rozmiłowana w sobie z bezwzględny egoizmem, wymaga od swoich hołdowniczek, które uśniane jest świat, ślepego posłuszeństwa, nie liczącego się ani z poszczególnymi warunkami, czy to powierzchowności, czy trybu życia, lub ograniczeń budżetu, narzuca swoją wolę — i na tem koniec. Oczywiście, chcąc rozwijać swoją działalność, Moda musi natrafiać na podatny grunt, na urodzajną glebę, na której wzrastać i dojrzewać by mogły plody jej despotycznych celów. Wogóle wszystkie zamiary prawodawczyni odnoszą pożądany przez nią skutek, osiągając pełnię powodzenia. Czasem jednak bywają prądy tak

silne, względy tak poważne, że przed niemi milknie nawet moda — a ponieważ wyczuwa ona bardzo subtelnie możliwą porażkę, więc odrazu zmienia strategiczne plany i szybko się orjentując, wytwarza nową sytuację, czyni pożądany zwrot, zapew-

niający jej zwycięstwo na całej linii.

Jak to już nieraz zaznaczałam, każdy znamieny wypadek historyczny i społeczny, odbija się w strojach kobiecych, czyli w przejawach mody. W ostatnim dziesięcioleciu wojna

rosyjsko - japońska, dała impuls zamilowaniu do tkanin i stylów wschodnich. Tak modne dotąd *kimona*, przedostały się wtedy na grunt europejski i już na nim pozostały. Niektóre draperje sukien i płaszczy, subtelnie okalające kształty, stamtąd również biorą początek zwyczajski. Wschód tym razem przez Japonję wcielany, wywarł wpływ znamieny na stroje, na urządzenie mieszkań, na rozliczne drobiazgi, otaczające eleganckich ludzi. W ostatnich czasach wypadki Bałkańskie z Bułgarią i Serbią na czele, dały początek całej frakcji mody, zwanej „*Mode Bulgare*“ ośniewającej jaszkrawymi barwa-



Najmodniejszy kostjum letni.

mi, świecidlami pętlcami, sznurami, specjalnym krojem kostiumów i t. d. Była to istna epidemia słabnąca już teraz znacznie i zbliżająca się szybko do zupełnego wygaśnięcia. Do jakiego stopnia umiłowano w Paryżu ową *Mode Bulgare* mieliśmy dowód po otwieraniu w stolicy świata wielkich kawiarni i restauracji, gdzie całe urządzenia aż do najdrobniejszych szczegółów, zostały sprowadzane z Bułgarii i Serbii wraz z całą liczną i barwną obsługą męską i żeńską.

Panie zmieniały urządzenia buduarów, pokrywając i strojąc w kolory bułgarskie nie tylko siebie ale fotele i kanapy, miało to znowu specjalną nazwę: *la fièvre Bulgare*. Jak wszystko w migotliwym a szalenie zmiennym Paryżu, tak i to — należy już do przeszłości. W ostatnim półroczu, nastąpił tam prąd nowy nowa sensacja, a wraz z nią nowa moda, która właśnie przeszła za nowym, prądem okazując w tem wiele taktu i rozumu bo nie tylko ustąpiła, ale ułatwiła znacznie całą nową sytuację i dążności otaczając je dobroczynnymi pomysłami.

Od dosyć już dawna myślące społeczeństwo francuskie stwierdziło danymi statystycznymi, że ludność ich pięknego kraju przodującego cywilizacji świata zmniejsza się z zatrważającą szybkością. Ów system dwojga dzieci w małżeństwie, praktykowany czas dłuższy w całej Francji wogóle a szczególnie w Paryżu okazał się zgubnym dla normalnego przyrostu ludności. Podniesiono alarm... Francji mogło z czasem zabraknąć już nie tylko żołnierzy ale w ogóle obywateli i obywaterek, zaczęto nawoływać — naznaczać premja i nagrody dla rodzin obdarzonych licznem potomstwem, nie wiele to jednak skutkowało. Wśród różnych przyczyn powstrzymujących francuzów od posiadania większej ilości dzieci, dopatrzono się sprawek mody, wymagającej od kobiet owej powiewności, szczu-

plkości, owej linii prostej, sprowadzającej do minimum rysunek postaci cofającej za pomocą specjalnych gorsetów całą figurę ku tyłowi — nadto puszczono w obieg rozliczne specyfikiki „pour maigrir“, szczupłość stała się ideałem każdej modnej pani, a oblepione obcisnięte, do wszelkich granic możliwości kostjumy i suknie — stały się ostatniem słowem e-



P. Pichor „Modne małżeństwo” Akt II.

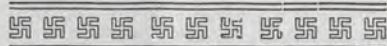
legancji. Łatwo zrozumieć jaki przewrót w toalecie i wyglądzie, wywoływał stan spodziewanego macierzyństwa i z jak wielką niechęcią godziły się płocze i zalotne *modnisie* (a tych jest bardzo wiele... we Francji) na tę radykalną zmianę będącą często nieuniknioną negacją estetyki, zwłaszcza wobec modnych wzmagań. Zaczęto jednak coraz głośniejszemu przeciw modnym rozkazom, przeciw skrepowaniu kształtów — a wtedy moda ustępując wyższej sile i jak to naznaczyłam idąc za prądem, odrazu z sezonu na sezon, zmieniła zasadniczo rysunek kobiecych postaci i do tych nowych linii przystosowała swe kreacje. Przedewszystkiem przepadł gorset *busque*

droit, owa brykla prosta silnie przytrzymująca figurę i tak zwane *zartele* czyli gumy, łączące gorset z pończoszkami, zostały wykreślone — pogrzebane, obecne gorsety krojem swym zapewniają figurze najzupełniejszą swobodę podtrzymując tyłko leciuchno naturalne jej kształty. Następnie, nawet przy klasycznych kostjumach krawieckich, usunięto obcisłość do kolia bioder, zostawiając ją tylko przy kolanach i stopach, dalej wprowadzono fałdy na przodzie sukni i wszelkiego rodzaju draperję, na jednym lub obydwóch bokach spódnicy, lub krzyżowane na prodzie idąca ku tyłowi, a już najradykałniej zmieniono krój obcisłych żakietów staników i bluzek. Dziś cały strój kobiecy krojem i upięciem zmierza do zamaskowania prostych linii draperją, lub upięciem.

Żakiet z dłuższą lub krótszą baskiną jest wolny, pełno na nim załamań fałd zmarszczek — tak bardzo modne rękawy zwane *aeroplan* dopełniają tej dyskretniej dla samej figury całości pozwalającej zaledwie domyślać się istotnych kształtów.

Tak ubierać się można we wszystkich życiowych okolicznościach i *taka* moda mawpłynąć skutecznie na powiększenie liczby francuzkich obywateli.

Marcèle.



Wskazówki kosmetyczne.

Kwestja farbowania włosów siwych lub siwiejących na pierwotny ich kolor, jest jedną z najtrudniejszych w dziedzinie kosmetyki, bo wszystko zależy od gatunku włosów mających podlegać ufarbowaniu, ze znanych dotąd farb, okazała się jedną z najlepszych t. z. *Eau de Juvence* paryzkiego chemika p. *Caro Leneville*. Farbuje na wszystkie kolory i odcienia trwałe, nieszkodliwe, nie brudzi skóry ani bielizny, przedstawicielem jedynym u nas tej farby jest *Roman Prochowski*.

Marcèle.



CHWILA BIEŻĄCA.

O czym dziś można mówić w Łodzi, jeżeli nie o strajku? Jest to obecnie temat najżywotniejszy, żywo obchodzący nie tylko wszystkich mieszkańców Łodzi, ale całego kraju. Przemysł łódzki jest związany tysiącami nićmi z różnymi gałęziami pracy naszej. Sparaliżowanie ruchu w tem głównem ognisku przemysłem odbija się bardzo dotkliwie niemal na wszystkich dziedzinach naszej gospodarki.

W chwili, gdy te słowa piszemy (20 lipca), około sześćdziesięciu tysięcy robotników strajkuje a względnie nieznaczna ich liczba powróciła do pracy. Wprawdzie dotąd jeszcze strajk nie wyszedł z fazy spokoju, ale już znać pewne, dość nawet silne zdenerwowanie z obu stron. Robotnicy, którzy porzucali dotąd pracę po upływie dwu tygodni od chwili wymówienia, w razie jeżeli nie doszło do pomyślnego dla nich załatwienia sprawy, obecnie bardzo często już nie czekają na ów termin dwutygodniowy i porzucają pracę. Zdarzają się również coraz częściej wypadki powtórnego porzucania pracy.

Wogóle z każdym dniem strajki przynoszą coraz nowe niespodzianki, coraz więcej fabryk przemysłowych zamykają. Dziś już na widnokręgu łódzkim prawie niema typowych chmur z dymu, ale za to chmura moralna i ekonomiczna wisi nad miastem i jego szerokimi okolicami. Wszędzie daje się wyczuwać przygnębienie i zdenerwowanie. Cała ludność odczuwa ciężar położenia.

To też próbowano dwukrotnie zawiązać pośrednictwo pomiędzy robotnikami a fabrykantami. Pierwsze wystąpiło Łódzkie Towarzystwo Dobroczynności, które ogłosiło do robotników i fabrykantów odezwę publiczną. Czytamy w niej między innymi:

„Czy ta ogromna liczba robotników, wycieńczonych już podczas długotrwałego zastoju, długo potrafi walczyć? Czy wzgląd na własną zgłodniałą rodzinę, na kwilenie dzieci nie wytrąci mu, po krótkim szamotaniu się, broni z ręki?

„Nam się zdaje, że należało obecnie walki nie rozpoczynać, dać raczej czas i przemysłowcom do wydzwignięcia się choćby częściowego, z krytycznego położenia materialnego i do powetowania sobie choć w części poniesionych strat, a wtedy, przekonani jesteśmy, że byliby dali posłuch uzasadnionym przedstawieniom robotników, a cała sprawa byłaby się załatwiła bez ogromnych strat, jakie już ponieśli przemysłowcy i robotnicy“.

„Na pomoc społeczeństwa bliższego i dalszego jak to się działo za pierwszego lokautu, oglądać się nie możemy. Ta rachuba zawiedzie stanowczo. Zresztą jeden nierozważny krok lub czyn podczas ogólnego naprężenia nerwowego i ogólnego rozdrażnienia może wywołać najstraszniejsze następstwa“.

Towarzystwo dobroczynności mniema, że wielce przyczyniłoby się do załatwienia zatargu podanie przez przemysłowców do wiadomości publicznej, wprost od siebie, najniższej, praktykowanej w danej fabryce stopy zarobkowej.

„Kursujące w mieście legendy o głodowych zarobkach wywołują zamęt i wrzenie. Podanie do publicznej wiadomości najniższych zarobków położyłoby legendom tym koniec, albo wystawiłoby pod pręgierz opinii publicznej te firmy, gdzie się głodowe zarobki praktykują“.

Towarzystwo Dobroczynności jest przekonane, że na tle takiego porozumienia możnaby poruszyć sprawę bardzo ważną, wywołującą ciągle zgorzienie i gorycz ze strony robotnika: sprawę obrażającą jego godność, sposobu traktowania i obchodzenia się niektórych majstrów i zarządzających fabrykami.

„Im łatwiejszy będzie dostęp robotnika do samego właściciela, tem większe zapanuje zaufanie między pracodawcami a robotnikami“.

Odezwa ta przeszła, niestety, prawie bez wrażenia i nie wywarła najmniejszego wpływu ani na jedną, ani na drugą stronę.

Natomiast z inicjatywy „Nowego Kurjera Łódzkiego“ postanowiono powołać do życia komitet obywatelski z udziałem robotników. Najważniejszym zadaniem takiego Komitetu byłoby uzyskanie pozwolenia od władz na zgromadzenia robotników fabryk poszczególnych.

„Na zebraniach tych wybrano legalnie delegatów, wolnych w ten sposób od podejrzeń. Tacy delegaci, łącznie z komitetem obywatelskim i delegatami fabrykantów, rozpoznają żądania robotników każdej fabryki poszczególniej i chyba łatwo doprowadzą do zgody“.

Na zebrania robotników fabryk poszczególnych już wydano pozwolenie. Pierwsze takie zebranie w obecności policmajstra m. Łodzi, odbyło się w sali jadalnej fabryki Geyera przy ul. Piotrkowskiej. Robotnicy wybrali z pośród siebie delegatów z przedzalni i wykończalni, celem prowadzenia układów z administracją fabryczną w sprawie powrotu do pracy. Zebrania takie robotników strajkujących, postanowiono zwołać również w innych fabrykach.

Tymczasem jednak strajk trwa i szerzy spustoszenie ekonomiczne, a końca jego jeszcze

obecnie przewidzieć nie można. Natomiast można w przybliżeniu obliczać jego skutki.

Wobec strajku robotników łódzkich ukryła się w cieniu i uszła bacznej uwagi publicznej inna niezmiernie ważna sprawa nauczania powszechnego w Łodzi. W tej kwestji odbyły się w Łodzi dwa zebrania, z udziałem radnych miejskich oraz inspektora szkół ludowych okręgu łódzkiego, p. Szczegłowa. Według jego obliczenia dzieci szkolnych (8, 9, 10, 11-letnich) w Łodzi jest w roku bieżącym 32,982. Wyliczenie to jest oparte na ogólnej liczbie ludności miasta. Ponieważ do istniejących obecnie szkół miejskich początkowych uczęszczało w roku bieżącym 10,896 dzieci, więc bez nauki pozostaje w Łodzi 18,293 dziatwy. Liczba ta oczywiście jest mniejsza, jeżeli weźmiemy pod uwagę prywatne szkoły początkowe i fabryczne oraz te dzieci, które się kształcą w domu. Ogółem korzysta z nauki 14,550 dzieci. Pozostaje więc poza obrębem nauki, czyli się wychowuje i oświeca na ulicach i podwórzach 14,639 dzieci.

Na utrzymanie szkół istniejących kasa miejska wypłaciła w roku bieżącym 60,000 rb., ze składek zaś od mieszkańców wpłynęło 331,457 rb. 71 kop. Z uwzględnieniem przyrostu ludności obliczono, iż do r. 1922 trzeba będzie otworzyć jeszcze 380 szkół, czyli t. zw. kompletów szkolnych; a więc ogółem miasto będzie musiało utrzymać 578 szkół. Ponieważ koszt utrzymania każdego kompletu wynosi 1900 rb. rocznie, więc wydatek roczny na utrzymanie wszystkich szkół wyniesie 1,098,200 rb. Na pokrycie tego wydatku rząd będzie dawał ogółem 225,420 rb. (po 390 rb. na szkołę). Tym sposobem na mieszkańców Łodzi przypadnie do płacenia 872,780 rb. rocznie. Otóż komisja obradująca przyszła do przekonania, że to będzie nad siły mieszkańców i że o ile rząd nie poniesie kosztów utrzymania w stosunku połowy, t. j. po 950 rb. na szkołę, to nie podobna będzie otwierać szkół według planu sporządzonego, lecz tylko w miarę posiadanych funduszy. Tym sposobem pięknie zapowiadające się nauczanie powszechne w Łodzi odrazu stłumiono, dzięki nadmiernemu pesymizmowi i przesadnej przezorności członków komisji obradującej. Około 15,000 dzieci nadal będzie tonęło w mrokach analfabetyzmu, bo na wydobycie tych ogromnych rzesz z ciemnoty miasto i ogół ludności nie będą miały środków.

Bardzo łatwym i prostym sposobem rozstrzygnięto i załatwiono pierwszorzędną kwestję.

Czy te uchwały są już ostatnią instancją? Czy tej stanowczej decyzji nie można będzie

skasować? Sądzę, że przy dobrej woli i energii jednostek, odczuwających gorąco i szczerze potrzebę oświaty, można jeszcze skierować sprawę nauczania powszechnego w Łodzi na tory pomyslniejsze.

Zenon Pietkiewicz.

Gospodarka miejska.

Projekt samorządu miejskiego powędrował z powrotem do komisji w celu uczynienia w nim najrozmaitszych poprawek. Najbardziej a niewątpliwie dotknie nasze miasto, które z niecierpliwością oczekiwało tej radosnej chwili: wprowadzenia samorządu miejskiego. Od lat kilku z rządu nie zaprowadzano u nas absolutnie żadnych nowych urządzeń, licząc na samorząd, obecnie zaś, gdy sprawa przyszłego samorządu na razie została dla nas „wyjaśnioną“ dłużej czekać nie należy.

Brak nam wiele niezbędnych wprost elementarnych urządzeń miejskich. Pomijając już ową „upragnioną“ i „wymarzoną“ kanalizację, nie mówiąc o wodociągach, kwestji spalania dymu i t. p. sprawach musimy w pierwszym rzędzie z całą świadomością zareagować w kwestji anty-sanitarnego stanu naszego miasta.

Istotnie, zmieniło się nieco z przyjazdem nowego policmajstra p. Gruzinowa, który z niezmierną energją zabrał się do uporządkowania wielkich „zaległości“, szczególnie dotyczących się policyjno-sanitarnych. Jednakże główniejszą rolę w tej działalności odgrywa strona zewnętrzna t. j. ulica. W podwórzach zaś, nie zaszły żadne zmiany.

Wejrzymy tylko na chwilę w te podwórka łódzkie. Zwykle jego upiększenie, to wóz z odpadkami, z których nawet nie może skorzystać Tow. przeciwzembracze. Wokół unoszą się zapachy t. zw. specyficzne. Wszak to niezła atmosfera!

To są przyczyny i rozsądniki wszelkich chorób zakaźnych w które obfituje nasz osławiony „gród bawełniany“.

Przy sposobności należy nadmienić, iż istnieją w Łodzi: Tow. higieniczne, działalność którego jest aż nazbyt dobrze znaną wszystkim, by o niej na tym miejscu wspominać i komisja sanitarna, jednakże...

Taki stan dłużej istnieć nie powinien i nie może, należy z nim wobec tego raz już skończyć, albowiem przyczynia się on jedynie do uszczuplenia mas społecznych.

R. Mar.

NESTLE

Mączka mleczna jest najodpowiedniejszym pokarmem dla niemowląt oraz dla osób dorosłych chorych na żołądek i rekonwalescentów.

LITERATURA NASZA I OBCA

POEZJE, POWIEŚCI, NOWELE I OPOWIADANIA.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI.

24)

BOHATER.

POWIEŚĆ.

— Nie zatrzyma... o spartańska niewiasto! Bohaterska niewiasto! wykrzykiwał oficer z entuzjazmem.

— Postanowiliśmy zatem wziąć ślub za indultem. Kraski nasze zagarnięte i prawdopodobnie będą skonfiskowane. Nie można się łudzić. Nie wiem czy wrócimy się kiedykolwiek do naszej wioski rodzinnej — a przynajmniej nieprędko. Dla tego też nie ma potrzeby zwlekać z tem... z tem naszym małżeństwem. Zamieszkamy narazie w Warszawie.

Panna Marta stała ciągle nieruchomo, jak posąg boleści.

— Cóż nie wieszysz nam? — spytała szczęśliwa narzeczona.

Przyjaciółka, jakby przełknęła łzę gorzką.

— Ależ z całego serca, z całego serca, wymówiła z trudem.

Zda się, nie wiedziała dobrze co do niej mówiono w tej chwili, i co sama odpowiada.

Targały jej istotą straszne niepokoje.

Poza niejasnym nieuchwytnym przecuciem złych losów, panna Krystyna po wizycie dzisiejszej miała jeszcze niewypowiedziane przykre wrażenie jakiegoś niesmaku wewnętrznego.

Zdradziła się niebacznie z uczuciami, które dotąd tak zazdrośnie ukrywała w najgłębszych tajnikach serca.

Nie zaprzeczyła hrabinie dość stanowczo, nie wyparła się dość kategorycznie tych spojrzeń wymownych...

Ha, stało się...

Zacząto ją powszechnie uważać za jedną z ofiar!...

Co za upokorzenie! Miłość do księcia zmagąła się w niej z miłością własną.

Panna Marta była ambitna. Miała wygórowane poczucie godności niewieściej — miała niezwykle rozwinięta wrażliwość na tym punkcie, cierpiała też niewymownie.

Miała też ona ową wstydlivość, właściwą naturom namiętym, wybuchowym i bezwzględny.

Nie mogła zrozumieć spokoju i poddania się, z jakim te wszystkie panie, jakoby śmiertelnie w księciu zakochane, cierpliwie czekały na jego łaskawsze spojrzenia. Nie mogła zrozumieć bezwstydnego swobody, z jaką zwierzały się wzajemnie sobie z najintymniejszych drgnięć serca.

Świadomość, że odkryto tajemnicę jej uczuć piekła ją jak wielka, otwarta rana.

Powstawał w duszy bunt nieposkromiony. Zaczęła myśleć o czynie jakimś rozpaczonym... bodaj szalonym. bodaj...

Ach, ujrzeć go raz jeden. Spojrzeć mu w oczy zbliżka, dotknąć ręki... a potem...

Potem... potem chciałaby umrzeć, jeżeli by on nie kazał jej żyć dla dzieci.

Ale książę, zajęty pośpieszną reorganizacją armji coraz rzadziej ukazywał się w towarzystwach. Dnie przepędzał na posiedzeniach, mustrach, przeglądach. Konferował z mężami stanu, z oficerami...

Zjawił się dnia pewnego na chwilę w teatrze. Panna Marta, uprzedzona o tem przez przysięgłe wielbicielki bohatera, wybrała się również na przedstawienie.

Ale książę ukazał się w łoży za ledwie na chwilę, bo wnet wywołany przez adjutanta, wyszedł z teatru i więcej już nie wrócił.

Próżno czekała dziewczyna na pojawienie się ukochanej twarzy w ciemnej wnęce łoży teatralnej. Pusta już była do końca.

Książę w tym czasie spełniał czyn niesłychanie wielkiej doniosłości.

W Radzie ministrów i w Radzie konfederackiej podniosły się głosy, że wobec usunięcia się sukursu austriackiego, nie podobna dłużej opierać się wyłącznie na sile oręża polskiego, że zatem jak najspieszniejszej trzeba oddać Warszawę zwycięzcy, ażeby otrzymać możliwe najlepsze warunki kapitulacji.

Właśnie do teatru przyniesiono mu wiadomość o przebiegu dysput w Radzie ministrów.

Księżę wybiegł z teatru wzburzony i stawiał się niespodziewanie na sesji rady.

— Co waćpanowie zamysłacie? zawołał gwałtownie bez wszelkich wstępów.

Wśród Rady zapanowało zamieszanie. Minister Mostowski powstał z fotela i jakby nieco załapany, tłómaczył się. (d. c. n.)



MARJAN ORLICZ.

5)

JAK W BAJCE.

POWIEŚĆ.

Pani domu rozsiadła się w fotelu na przyzwoitym miejscu, a on tymczasem najniezręczniejszemu w świecie, na stole nakrytym wcale nie dziewiczej białości obrusem ustawił, odstawiał.

— George, as tu mis les serviettes?

— Ah! non.

Podbiegł do komody i począł w niej ryć, jak w furze siana.

Wyciągał jedne po drugich koszule, poszewki, chusteczki, rozmaite szczegóły bieżni męskiej i damskiej nie pozostawiające wątpliwości co do swego przeznaczenia, ale serwet nie mógł się dokopać i dał za wygraną.

Po chwili na środku stołu stanęła pokazna salaterka z sałatą pomidorową, zawierającą obok ogromnej ilości cebuli i trochę pomidorów, zaraz też zaafierowany gospodarz wniósł z kuchenki półmisek wątpliwego wyglądu befsztyków własnej fabrykacji.

Odrywany ciągle od swoich zajęć wiecznym uprzykrzonym: „Georges, une cigarette“, „Georges les alumettes“, nie mógł nawet zjeść pozostałych na półmisku resztek, do których widocznym było, jak wzdychał.

Mimo wszystko jednak, wieczór zeszedł nadspodziewanie mile, niektórzy z towarzysztwa okazali się ludźmi wcale inteligentnymi; żona malarza, śliczna, żywa brunetka, zaśpiewała bardzo ładnym mezzo-sopranem kilka pięknych utworów, których i muzyka i słowa były dziełem wielkiego talentu Cressaugerowej. Gorzej było, kiedy ona sama głosem skrzypiącym, jak niesmarowane zawiasy razem z młodą kobietą zaśpiewała duet. Znać jednak było takie poczucie, takie umiłowanie muzyki, że się ten nie od niej zależny brak, chętnie wybaczało.

Ogólne wrażenie Żarski wyniósł niezgorsze i żegnany nad wyraz serdecznie, przyrzekł powrócić niezadługo.

Jak się okazało, młody malarz mieszkał również na bulwarze Arago i droga wypadła im razem.

Żarskiemu bardzo to było na rękę, bo i przyjemne miał towarzystwo i dziwne jego usposobienie ostatnich dni, nie znosiło samotności.

Kiedy pożegnawszy państwo Durand wszedł do siebie, doznał znowu takiego ściśnienia serca, jak przed paru dniami. Ki djabel! czyżby to był początek newrozy, czy jakie złe przeczucie?

Położył się spiesznie, ale próżno się po posłaniu przewracał jak potępieniec.

Po niezliczone razy począł liczyć od jednego do stu, jak w czasach pierwszej młodości, kiedy, bywało, nie mógł zasnąć; nawet pacierz w dzieciństwie w takich razach odmawiany przyszedł mu na pamięć. W głuszy nocnej, gdzieś zatętniały kroki zapóźnionego przechodnia, rozległ się człopot końskich kopyt. Tuż zadzwieczyły brzękadła powozu i ścichły w oddaleniu. Ktoś widocznie wraca z wesolej pohulanki..

Już wreszcie szary świt począł rozjaśniać przedmioty już na kurytarzu słychać było saboty mleczarza i rozwieszanie po klamkach flakonów.

Ah, sen już nie przyjdzie.

Wstał i otworzył okno.

Świeża woń budzącego się ranka snopem buchnęła do pracowni.

Sparł się u okna, nieruchomo wpatrzony w wzmaganie się dnia, nadeciągającego

z odchodzącą nocą, w tem szary łachman rozspanego świtu wielkiego miasta, tak niepodobny do tajemniczej mszy rozświtu wsi, kiedy to gdzieś z zaświatów wypłył bladobłękitny rąbek gazy, coraz mocniejszym nasyca się różem, aż naraz, niby niewidzialną ręką wysuniętą z przestworów monstrancja, rozbłyśnie mnóstwem strzał brylantowych, luną pożarną rozgorzeje, złotem i purpurą nasyci każdy listek, żdźbło każde.

Ileż on ich się napatrzył, tych świtów.
U gżemuśu zaczął wróbel.

I nagle, jakiś dawny, dobrze znany zapach wionął mu w duszę: gdzieś, kiedyś, dawno zasłyszana melodia zadźwięczała w mózgu, sennej pamięci zagrały gdzieś, kiedyś, zasłyszane odzewy.

Gdzieś, kiedyś...

I oto, z pod perłowego nieba Paryża ujrzał się myślą hen, wstecz, w małym saloniku z jesionowymi meblami w sztywnych pokrowcach.

(d. c. n.)



2) BOLESŁAW BOURDON.

W O J N A.

NOVELA.

(Dokończenie).

Jakto? Przecie i jemu nie jest ani odrobinę lepiej! Stokroć gorzej, bo podczas gdy żona *przecież* da sobie nawet w biedzie radę, (jak?.. nie wiedział), on idzie niemal na pewną śmierć, na trudy nie do zniesienia, traci wszystko, dom, przyszłość, marzenia, cały ten świat, w którym przez lata przywykł obracać się i miło przeżywać szybko biegnące dni. Jeżeli nawet jego żonie stanie się krzywda (nie z jego winy wyłącznie!), ha, trudno! Ileż to tysięcy ludzi znajdzie się w tem samym położeniu, bardziej nieszczęsnem i rozpaczliwem!... Fatalizm, los! Niepotrzebnie czyni sobie zbyt srogie wyrzuty!

Refleksje te nie przyniosły mu jednak uspokojenia, raczej gorzkie zrozumienie tego, że podobnie jak w tym względzie, tak samo i w wielu innych nie pójdzie na straconie w porządku z sumieniem, spokojnie, odważnie. Począł roztrząsać całe życie i z nieprzyjemną wyrazistością dochodził coraz bardziej do przekonania, że na każdym kroku sprzeniewierzał się sam sobie, zamulał głębinę swego ja lekkomyślnością i żądzą taniego użycia, stawał w rozdzwisku między myślą a czynem.

Ileż to razy mimo swe skromne stanowisko społeczne, patrzył z góry na bliźnich, przypisując sobie, zdaje się niezasłużenie, wyższą wartość moralną, oceniając z lekceważeniem tłum człowieczy! Cieszył się, że tkwiły w nim wzniosłe tęsknoty, nieprzeciętne porywy, szlachetne dążenia i żądza dobitnego określenia swego indywidualnego stanowiska we wszechświecie; w tem widział swą wyższość nad innymi, przeciętnymi, pospolitymi, gruboskórnymi. Lecz czy uczynił cokolwiek realnego, by porywom uczuciom sprostać czynami? Żył jak każdy filister, gubił tę szlachetną cząstkę po drodze szarych, bezwyrazistych dni, zmieniał ją na drobną monetę płaskich zadowoleń i kompromisów z wygodą i lenistwem, w gruncie rzeczy niczem się nie wyróżniał od najprzeciętniejszego. Gorzej jeszcze! Popelniał czasem czyny, do których nigdy nie chciał wracać pamięcią, zdawał sobie bowiem jasno sprawę, że na ich dnie leży jego godność osobista, najbardziej podle opluta i zdeptana, brud życia, ohyda...

Sianożęcki poruszył się niespokojnie na krześle i popatrzył na salę takim spojrzeniem, jakgdyby się zląkł, czy kto nie podglądał jego myśli. Wypił jednym haustem zimną już kawę, odsunął naczynie ruchem niecierpliwego zniechęcenia i wyciągnawszy się na krześle wsadził obie ręce w kieszenie.

— Mniejsza już z tem (wcale nie mniejsza!)—krzyczał złośliwie i przekornie drugi głos, ale o to chodzi, że... o co chodzi?—zadał sobie pytanie, wracając do dawnego toku myśli i łapiąc się na tem, że właściwie usiłuje się tylko wywinąć od najcięższych wyrzutów wewnętrznych.

Aha! Mniejsza z tem nawet, ale ci inni, na których patrzył z góry, o tyle mniej byli winni od niego, że może nie posiadali świadomości wyższych celów istnienia,

szlachetniejszych uczuć i zadań. Tem ci sroższa jest jego wina, że sprzeniewierzał się sobie i życiem upodobnił się całkowicie do nich. Klęska, pogrom, najzupełniejszy popogrom! Jeżeli zginie teraz od kuli wroga, zejdzie ze świata, nie zostawiając w niczyjej pamięci ani śladu głębszego. Sam siebie nawet nie może żałować, bo i tak zmarnował życie, nie uczynił ani jednego wysilenia dla zadowolenia owego potężnego głosu człowieczeństwa, który się w nim tak często zrywał, nie wmurował ani jednej cegiełki do świątyni swej godności, nie podniósł się ani o cal wzwyż ponad poziom przeciętności.

Bolesne uczucie duchowego bankructwa wstrząsnęło nim aż do głębi. Tyle możliwości, tyle sposobności w czasie trzydziestu kilku lat życia, tyle obowiązków uświadomionych, nici tajemnych nawiązanych z pięknem, polotem, wyżyną i nic, nic!... Pustka i niesmak, policzek wymierzony samemu sobie i niemożność odłożenia wszystkich spraw na później, brak czasu na poprawę, wznowienie wysiłków...

Niemożność?! — —

Sianożęcki bezwiednie otwiera szeroko oczy, po raz wtóry bowiem uderza go nowa myśl, świadomość niespodziewana nieznanego dotychczas wrażenia.

— Ależ to dobrze! — Krzyczy w nim coś całą mocą. — Ta niemożność, to jedyna zbawczyni i wybawicielka, a ów dotychczas grozą przejmujący, żelazny *mus* pójdzie na wojnę staje się całem błogosławieństwem takich ludzi, jak ja! Wojna, to wypadek niezależny odemnie, konieczność nakazana przez urządzenie społeczno-państwowe, za które ja osobiście nie ponoszę żadnej odpowiedzialności; gdyby mi dane było żyć dalej w dotychczasowych warunkach, kto wie!... Tak! Nikt mi nie wydrze tej pewności, choćby tylko nadziei, że nie załatwiłbym rachunków z własnym człowieczeństwem i dostojeństwem! Nawet to czułe, subtelne sumienie, które poruszyło cały kłęb obmierzłych robaków wątplenia, nie jest w stanie zaprzeczyć tej nadziei! Przyszłość, to karta zakryta przed wszystkim, więc to nie wykret, sofizmat, nie ułuda, że mogłoby być jeszcze inaczej; nie ja już obecnie winien jestem, jeżeli się tak nie stanie, lecz naprawdę los, coś całkowicie niezależnego odemnie. Przez katastrofę, którą przeklinają tysiące, ja jeden czuję się po raz pierwszy w życiu prawdzi-

wie szczęśliwy, błogosławię wypadkowi, który jednym zamachem zdjął ze mnie straszny ciężar *odpowiedzialności przed samym sobą za siebie!*...

Nareszcie jestem swobodny, spokojny jak nigdy, pogodzony z wszystkim, z własnym błędem i ułomnością, znowu podniesiony do wyżyny przez siebie samego nastawionych pytań i konieczności!...

Sianożęckiemu ceglaste rumieńce wybiegły na twarz. Oddychał szybko i nieregularnie, jak człowiek głęboko a nienaturalnie wzruszony. Oczy błyszczały mu teraz gorączkowo, całą postacią prężył się w górę, pełen dziwnego zadowolenia z nagłego przewrotu, jaki się w nim niespodzianie dokonał. Jeszcze błąkały mu się pod czaszką niewyraźne wątpliwości, ale już chwycił się kureczowo nowej koncepcji i za nic w świecie nie zatraciłby jej w sobie. Teraz z rzeczywistą ulgą i odcieniem przyjemności wmyślał się w przyszłe możliwości, przywoływał śmiało najrzewniejsze akcenty przewidywanej tęsknoty za żoną i tkliwej do niej miłości; teraz bez lęku myślał o ewentualnej śmierci na polu bitwy i pragnął wprost, aby śmierć go nie ominęła. Nie chciał przypuszczać, że wróci zdrow i że ten sam los, który mu niespodziewanie przyniósł tak proste a kojące rozwiązanie najtrudniejszego, najbardziej gnębiącego go zagadnienia, ten sam los mógłby mu wydrzeć to rozwiązanie i zmusić go do wstąpienia z powrotem na drogę żmudnego czynu długiej, planowej walki z życiem i z sobą. Jak manjak, uczepił się tej jednej myśli i już się z nią nie rozstawał.

Wiedziony jakąś zatraceniczą radością, kazał sobie podać wódki, wypił jej spory kielich i pełen animuszu pędził do domu na spotkanie zdruzgotanej nieszczęsną wieścią żony.

— Wojna! Wojna! — dolatywały po drodze Sianożęckiego głosy kolporterów; o wojnie gwarzył wzburzony tłum przechodniów.

Lecz te okrzyki i ułamki rozmów o krwawym dramacie, który miał niedługo zniszczyć istnienie tysięcy, nie raziły go już teraz.

K O N I E C .



Rinconete i Cortadillo.

Z hiszpańskiego przełożył Zdzisław Milner.

— Otóż chcę, — rzekł Monipodio, — i ta jest moja wola, abys ty, Rinconete, nazywał się od dzisiejszego dnia Rinconete, a ty, Cortado, Cortadillo, gdyż imiona te przypadają doskonale do waszego młodego wieku i zgodne są z naszymi rozporządzeniami. Musimy też wiedzieć, jak się zwą ojcowie naszych towarzyszy, gdyż zwykliśmy co rok zamawiać mszę za dusze naszych zmarłych i dobroczyńców. W tym celu z jakiegokolwiek z dokonanych kradzieży odkładamy pewną kwotę, czyli *stupidium*, aby zapłacić nią księdza, który ową mszę odprawia, mówią bowiem, że takie msze płatne są *per modum naufragii*¹⁾, wielce korzystne dla dusz czyścicowych. Do dobroczyńców naszych zaliczamy papugę²⁾, która nas broni, burego³⁾, który nas ostrzega, oprawcę, gdy się nad nami lituje, każdego wreszcie, kto widząc na ulicy jak za którymś z naszych tłum się ugania z okrzykami: „Złodziej! złodziej! trzymaj! łapaj!” stanie pośrodku i powstrzyma rozpęd ścigających, mówiąc do nich: „Dajcież mu państwo rozmyślać w spokoju o utrapieniach, któremi go los niełaskawy dostatecznie obdarzył, a za grzech kara Boża go nie minie“. Dobrodziejkami naszymi bywają też siostry miłosierdzia, kiedy przychodzą nam z pomocą w gąsiorze, lub na galarach; dobrodziejami naszymi są również ojcowie nasi i matki, za których sprawą przyszliśmy na świat; pisarze sądowi, którzy, jeśli składnie wezmą się do rzeczy łącznie mogą każdej sprawie dać taki obrót, że najcięższy występki nie będzie policzony za winę i nie będzie takiej winy, któraby pociągała za sobą ciężką karę. W celu uczczenia tych wszystkich naszych dobroczyńców, bractwo rok rocznie wyprawia ceremonie kościelne z największą okazałością i przepychem, na jaki możemy się zdobyć.

— Pewno, — rzekł Rinconete (ochrzczony już ostatecznie tem imieniem), — pewno, że jest to dzieło godne niebywałego a głębokiego rozumu, jakim waszmość, panie Monipodio, słynie. Lecz ojcowie nasi żyją jeszcze; jeśli śmierć w nich wcześniej, jak w nas ugodzi, nie omieszkamy dać znać o tem temu bogoboju i dobrotliwemu bractwu, aby za ich dusze zmówiono ową mszę zbawienną, o której Wmość wspominał. Nie wątpię zresztą weale, że będzie ona odprawiona z równym przepychem i równą okazałością, jak te, o których była mowa.

— Niech mię na miejscu piorun trzaśnie, jeśli ma się stać inaczej, — odparł Monipodio. Poczem, zwracając się do przewodnika naszych malców, ciągnął dalej:

— Pódź tu, Ganchuelo, czy posterunki rozstawione?

— Tak, — odrzekł chłopiec, któremu tak było

na imię, — trzech sztyldwachów stoi na straży i niema obawy aby nas zaskoczono zniemacka.

— Wracając więc do rzeczy, — rzekł Monipodio, — chciałbym wiedzieć, dzieci, co umiecie, aby wam naznaczyć zajęcie, któreby odpowiadało waszym upodobaniom i zdolnościom.

— Ja, — odparł Rinconete, — znam niezgorzej sam kwiat szlachetnej nauki Vilhana⁴⁾: wiem kiedy można w rękawie coś na później zachować; wzrok mi zawsze dopisuje, kiedy należy znaczoną kartę rozpoznać; umiem robić wolty pojedyncze, podwójne i potrójne; sztuka filowania też mi nie obca; znam klempe i chodzika, a gdy naznaczę sobie miejsce, gdzie karty mają być zebrane, pewny być mogę, że mię mój partner nie zawiedzie. Łatwiej mi wreszcie zmówić się z towarzyszem by wspólnie orznać jakiegoś pyszałka, niż zaciągnąć się do wojska, a prędzej najbardziej szczerwanemu graczowi podsunę jakąś niepotrzebną młódkę, niż mu się uda wymanić odemnie dwa reale.

— Niezły początek, — rzekł Monipodio, — lecz wszystko to sztuczki dziecinne, jak świat stare, a tak powszechnie są w użyciu, że zna je każdy początkujący i służyć mogą tylko przeciw zupełnemu bałwanowi, z tych, którzy dopóty grają i odgrywają się, póki ostatniego szeląga nie wyłożą na stół. Miejmy jednak nadzieję, że z czasem, wzięwszy z pół tuzina lekcji, zdofasz się w tej sztuce wydoskonalić; ha, może nawet kiedyś staniesz się w niej mistrzem.

— Niczego nie zaniedbam, — odparł Rinconete, — ku zadowoleniu Wmości, jak również i enych członków tego bractwa.

— A ty, cóż umiesz, Cortadillo? — zapytał Monipodio.

— Ja, — rzekł Cortadillo, — znam taką sztukę, że kładziesz dwa a pięć wyjmujesz⁵⁾; prócz tego umiem zręcznie wymacać i spustoszyć wszelką kieszeń.

— Cóż więcej umiesz?

— Nic, za grzechy moje, — odparł Cortadillo.

— Nie trap się tem, synu, — rzekł Monipodio, — gdyż znajdziesz u nas bezpieczną przystań i dobrą szkołę. Niema obawy abys tu zgubił i nie opuścisz nas, nie nauczywszy się wszystkiego, co ci na przyszłość może być potrzebne. A jak tam z odwagą chłopcy?

— O! tej nam nie brak! — zawołał Rinconete. — Żadne trudności nas nie odstraszą, jeśli chodzi o dokonanie jakiego przedsięwzięcia, któreby miało styczność z naszą sztuką i rzemiosłem.

¹⁾ *Per modum suffragii* chciał powiedzieć Monipodio, lecz nie dopisała mu łacina, podobnie jak wyżej, kiedy rzekł *stupidium* miast *stipendium*.

²⁾ W gwarze złodziejskiej: adwokat. ³⁾ Policjant.

⁴⁾ W epoce Cervantesa przypisywano niejakiemu Vilhanowi wynalazek gry karcianej i licznych sposobów podejścia partnera.

⁵⁾ Ta sztuczka złodziejska polegała na wyławianiu, zapomocą tylko dwóch palców, różnych skrzętnie ukrytych przedmiotów.

— Bardzo dobrze, — rzekł Monipodio, — lecz radbym wiedzieć, że ta odwaga nie opuści was i w nieszczęściu; że potraficie znieść wszelki maglunek z zaciśniętymi zębami, nie powiedziawszy nawet: „oto moje usta“.

— Wiemy już, mości Monipodio, — odparł Cortadillo, — co znaczy maglunek. Na nic nie zbraknie nam odwagi, gdyż nieuctwo nasze nie sięga tak daleko, abyśmy nie rozumieli, że za to, co język powie, gardłu przyjdzie zapłacić. Szczęście to dla przestępcy, gdy w jego rękę spoczywa wybór między życiem a śmiercią; pod warunkiem, że będzie umiał należycie przypilnować swego języka. Zresztą, czyż jedno nie trudniej wymówić niż jedno t a k? (d. c. n.)



H. DE BALZAC.

1)

Dzieje Trzynastu.

(Z francuskiego).

PRZEDMOWA.

Za czasów Cesarstwa znalazło się w Paryżu trzynastu ludzi przejętych jednym i tem samym uczuciem, obdarzonych dostateczną energją, by zachować wierność względem swej idei, dość uczciwych w stosunku do siebie, aby nie zdradziły się wzajem nawet wtedy, gdy interesy ich były sprzeczne, dość zręcznych polityków, by umieć ukryć łączące ich święte węzły, dość silnych, by stanąć ponad prawem, dość odważnych, aby wszystko przedsięwziąć, dość szczęśliwych, by kroczyć od jednego powodzenia do drugiego. Narazali się na tysiączne niebezpieczeństwa, lecz milczeli o swych porażkach; nie znali strachu, więc nie drżeli ani wobec króla, ani wobec kata, ani nawet wobec niewinności. Byli dla się wzajem tolerancyjni i nie liczyli się z przesadami społecznymi; byli niewątpliwie przestępcami, lecz byli też ludźmi godnymi uwagi ze względu na pewne zalety, właściwe mężom stanu i wogóle ludziom wybitnym. Wreszcie, aby uzupełnić ponurą i tajemniczą poezję opowiadania niniejszego, dodajmy, że wszyscy trzynastu pozostali nieznani, jakkolwiek wszyscy dokonali czynów, godnych rywalizować z wszystkim, co przypisuje wyobraźnia takim ludziom, jak Manfred lub Faust. Dziś wszyscy rozpierzchli się, spokojnie powróciwszy pod jarzmo prawa, po-

dobnie jak Morgan, ten Achilles korsarzy, który z łupieżcy stał się spokojnym kolonistą i w tym charakterze z czystym sumieniem korzystał przy blasku ogniska domowego z milionów, zebranych wśród potoków krwi, przy czerwonym płomieniu pożarów.

Od chwili śmierci Napoleona, wypadek, o którym autor nie może pisać bardziej szczegółowo, rozluźnił węzły tego życia, tajemniczego i ciekawego, jak najzawilszy z romansów pani Radeliffe. Dopiero ostatnio autor, wyczuwszy w jednym z tych bezimiennych bohaterów, którego władzy podlegało nieświadomie całe społeczeństwo, pewną żądzę rozgłosu i uwiecznienia, nagabnął go i otrzymał odeń zgodę na ogłoszenie stosownie do swej woli, lecz z zachowaniem pewnych granic, niektórych przygód, które przytrafiły się tym ludziom.

Człowiek ów jest napozór młody jeszcze, włosy ma jasne, oczy niebieskie; jego świeży i wdzięczny głos, zda się, odbija duszę subtelną, prawie niewieścią; twarz ma bladą, zachowanie się tajemnicze; jest nader uprzejmy, twierdzi, że ma zaledwie czterdzieści lat i, sądząc z wyglądu, należy do sfer najwyższych. Przyjęte przezeń nazwisko jest niewątpliwie zmyślane, w wyższym towarzystwie osoba jego jest nieznaną. Kto on zaczął? — nikt nie wie.

Zapewne, zwierając się autorowi z nadzwyczajnych przygód, które opisujemy poniżej, nieznamy pragnął ujrzeć je odtworzonymi przez literaturę, chciał zaznać tego wzruszenia, które budzi w naszym sercu widok tłumy, lubiącego się naszym dziełem. Zapewne ożywiało go to samo uczucie, co Macphersona, gdy imię Ossjana, stworzonego przezeń, było na ustach wszystkich. Tak, niewątpliwie, było to dla adwokata szkockiego wrażenie niestychanie silne, wrażenie, którego ludzie doświadczają nader rzadko. Jest to dla geniusza nagroda za *skromne incognito*. Bo napisać „Drogę z Paryża do Jerozolimy“, znaczy to: zdobyć cząstkę wszechświatowej sławy, lecz obdarzyć kraj Homerem — to znaczy: dorównać Bogu.

Autor zbyt dobrze zna wymagania czytelników, aby nie wiedzieć, jak poważne zobowiązanie zaciągnął tym krótkim wstępem, lecz zna on dostatecznie przygody trzynastu, aby być pewnym, że nie zawiedzie oczekiwań, wywołanych jego zapowiedzią. Dramaty, w których śący się krew, pełne grozy komedje, romanse, w których toczą się w tajemniczy sposób ucięte głowy — oto co mu powierzono. Jeśli czytelnicy nie są jeszcze nasyceni okropnościami, któremi na zimno raczy się społeczeństwo od pewnego czasu, autor opowie im spokojnie okrucieństwa, niezwykle tragedje rodzinne i — tuszy sobie — zaspokoi najbardziej nienasyconych. Jednak najchętniej przytoczy autor rzeczy mniej okropne, takie, w których po burzy namiętności następują obrazy czyste i wzniosłe, w których kobieta promienieje cnotą i pięknnością. Bo na chwałę trzynastu wyznać należy, że trafiają się i takie historie w dziejach ich, zasługujących na to, by umieścić je obok przygód flibustjerów, tej odręb-

nej gromady ludzkiej, tak ciekawej i energicznej, tak pociągającej, mimo popełnionych zbrodni.

Autor nie powinien zniżać się do ubarwienia swej opowieści, skoro jest ona prawdziwa. Toteż nie pójdziemy w ślady tych pisarzy, którzy przez cztery tomy wloką czytelnika od podziemia do podziemia, aby pokazać mu wysuszone zwłoki i wyznać przed nim koniec końców, że wciąż straszili go ukrytymi za kotarą drzwiami, lub nieboszczykiem, zostawionym przez zapomnienie pod podłogą. Pomimo całego swego wstępu do przedmów, autor zmuszony był poprzedzić fragment poniższy kilku słowy. *Ferragus* — jest to pierwszy epizod, niewidzialnymi węzłami spleciony z dziejami trzynastu, których potęga, zdobyta w ciągu długich lat, może jedynie wyjaśnić pewne zdarzenia, należące napozór do dziedziny faktów nad-naturalnych. A choć wolno powieściopisarzowi posiadać odrobinę kokieteryj literackiej, gdy staje się historykiem, jednak muszę wyrzec się tych korzyści, które zapewnia dziwaczność tytułu — dziś częstokroć jedna z podstaw powodzenia. Toteż autor przede wszystkim wyjaśni powody, które skłoniły go do przyjęcia dziwaczego tytułu: *Ferragus*.

Ferragus jest to utrwalone przez odwieczny obyczaj imię przywódcy pożeraczy. W dniu obioru, przywódcy ci przyjmują imię jednej z dynastji, które podoba im się najbardziej, podobnie jak to czynią papieże, przy wstąpieniu na tron apostolski. Tak oto przywódcy pożeraczy wzięli się *Ferragus XXII*, *Tytanus XIII*, *Żelaznomaski IV*, podobnie, jak głowy Kościoła obierają imiona *Klemensa XIV*, *Grzegorza IX*, *Juljusza II*, *Aleksandra VI* i t. d. A teraz: któż to są ci pożeracze? Pożeracze jest to nazwa jednego z oddziałów związku *towarzyszów*, który ongi tworzył wielkie bractwo mistyczne, rekrutujące swych członków z pośród robotników świata chrześcijańskiego, a mające na celu odbudowanie świątyni Jerozolimskiej. Podobne bractwa istnieją jeszcze we Francji wśród ludu. Ich potężny wpływ na umysły prostaków i wogóle ludzi nie dość świątliwych, by lekceważyć przysięgi, mógłby posłużyć do nadzwyczajnych przedsięwzięć, gdyby jakiś wulgarny genjusz ujął w swe ręce władzę nad takimi bractwami. W istocie, w bractwach ludzie są ślepymi nieomal narzędziami; posiadają one w każdym mieście t. zw. *obady*, czyli oberże, utrzymywane przez *matki*, rekrutujące się przeważnie ze starych cyganek, które nie mają nic do stracenia, wiedzą o wszystkim, co dzieje się w okolicy i — wskutek strachu czy przyzwyczajenia — oddane są bezwzględnie bractwu, którego członków goszczą u siebie i żywią. Dalej, ten zmienny, lecz posiadający niezmiennie obyczaje, związek posiada wszędzie oczy i uszy, wykonywa wszędzie pewną wolę, nie pytając o motywy, gdyż nawet najstarszy z członków bractwa jest jeszcze w tym wieku, w którym bezgranicznie w coś się wierzy. Przytem całe bractwo wyznaje doktryny dość słuszne, dość tajemnicze, by mogły patryjotycznie podniecać swych adeptów, gdyby ktoś zechciał doktryny te rozwinąć. Wreszcie, przywiązanie członków do swych zasad jest tak wielkie, że

częstokroć różne bractwa staczają między sobą krwawe walki w obronie jakiejś zasady. Na szczęście dla porządku publicznego, w chwili obecnej, gdy jakiś przywódca pożeraczy jest ambitny, buduje sobie dom, wzbogaca się na koszt bractwa i porzuca je. Możliwe opowiedzieć wiele ciekawych rzeczy o *bractwie obowiązku*, rywalizującym z pożeraczami i rozmaitych innych sektach robotniczych, o ich obyczajach i braterstwie, o stosunku między nimi a wolnomularzami, lecz tu szczegóły podobne byłyby nie na miejscu i oddaliłyby nas od przedmiotu opowieści. Autor doda więc tylko, że za czasów dawnego Królestwa często zdarzało się spotkać jakiegoś przywódcę pożeraczy, przykutego wyrokiem sądowym na sto i jeden rok do galer królewskich, lecz i stamtąd rządzącego swem bractwem, ślepo słuchanego, a w razie ucieczki z galer pewnego, że znajdzie wszędzie pomoc, szacunek i ratunek. Dla wiernego bractwa pobyt przywódcy na galerach jest jednym z tych nieszczęść, które zsyła Opatrzność, lecz które nie uwalnia pożeraczy od obowiązku posłuszeństwa względem władzy stworzonej przez nich i stojącej ponad nimi. Jest to chwilowe wygnanie prawowitego króla, który dla nich pozostaje zawsze królem. Tak oto rozwialiśmy podanymi tu szczegółami romantyczny nimb, otaczający imię *Ferragusa* i nazwę pożeraczy.

Co się zaś tyczy trzynastu, to autor czuje dość mocną podstawę w posiadanych przez się szczegółach tej romantycznej historii, aby mógł zrzec się jeszcze jednego z przywilejów, przysługujących powieściopisarzom, a mianowicie przywileju rozciągania spisywanych przygód na wielką liczbę tomów.

„Trzynastu“ — byli ludźmi zahartowanymi na obraz i podobieństwo *Trelawneya*, przyjaciela lorda *Byrona* i, jak mówią, prototypu *Korsarza*; byli fatalistami, serca mieli poetyczne, lecz znudzone płaskością życia, które wiedli, byli rozmiłowani w uciechach azjatyckich, pełni sił, wzmożonych dzięki długiej bezczynności. Pewnego dnia jeden z nich, po przeczytaniu romansu p. t. „*Ocalona Wenecja*“, zachwycony nadzwyczajnym związkiem między *Piotrem* a *Żafierem*, pomyślał o szczególnych cnotach tych ludzi, wyrzuconych po za nawias życia społecznego, o uczciwości na galerach, o wzajemnej wierności złodziejom względem siebie, o przywilejach niezwykłej potęgi, którą umieją zdobywać ci ludzie, skupiając wszystkie idee w jednej woli. Znalazł, że człowiek, jako jednostka przerasta ludzi, jako gromadę. I doszedł do wniosku, że społeczeństwo całkowicie ulegnie władzy ludzi wyższych, którzy wrodzony rozum, nabytą wiedzę, majątek połączą z fanatyzmem dość gorącym, by złać w jeden potężny strumień te różne siły. Wskutek tego, zrodzi się czynna i intensywna potęga tajemna, przeciw której porządek społeczny będzie bezbronny, która obali wszelkie zapory, poskromi cudzą wolę i da każdemu z tych ludzi szatańską władzę, zdobytą przez wszystkich łącznie. Ten odrębny świadek, wrogi światu, nie uznający z żadnej jego idei, nie uznający żadnego prawa, poddają-

ey się tylko prawu konieczności, posłuszny tylko swemu postanowieniu, działający solidarnie na rzecz każdego z swych członków, gdy któryś z nich zażąda pomocy wszystkich: to życie flibustjerów w rękawiczkach i w karetach; ten ściśle spojony związek ludzi wyższych, zimnych drwiących, uśmiechniętych i przeklinających, kaprysów pełnych; nadzieja zrećźnie wywieranej zemsty, żyjącej w trzynastu sercach; nieprzerwana rozkosz żywienia tajemnej nienawiści względem ludzi, wobec których jest się potężnie uzbrojonym; możność zamknięcia się w sobie, posiadając o jedną ideję więcej niż wszyscy inni, najwykwintniejsi nawet ludzie, — to połączenie rozkoszy i egoizmu sfanatyzowało trzynastu ludzi, którzy założyli coś w rodzaju bractwa Jezusowego, lecz... na rzecz diabła. Było to straszne i wspaniałe. Pakt został zawarty i trwał właśnie długo, dlatego, że wydawał się czemś niemożliwym. I oto znalazło się w Paryżu trzynastu ludzi, którzy należeli do siebie wzajem, którzy rozpięrzali się wśród społeczeństwa, a wieczorami zbierali się na narady, jak spiskowcy, nie ukrywając przed sobą żadnej myśli. Byli we wszystkich salonach, czerpali ze wszystkich skarbów, wkręcali się w tłum na każdej ulicy, składali głowy na wszystkich poduszkach, i, bez skrępowań, naginali wszystko do swych zachceń. Nie podlegali władzy żadnego przywódcy, nikt z nich nie mógł przywłaszczyć sobie władzy nad pozostałymi; jedynie najsilniejsza namiętność, najpilniejsza okoliczność miała pierwszeństwo. Stanowili oni trzynastu prawdziwych królów, a nawet więcej, niż królów, gdyż sędziów i katów, którzy zdobyli skrzydła, by przeniknąć społeczeństwo od jednego krańca do drugiego, nie chcieli stać się w niem czemś, gdyż mogli czynić w niem wszystko co chcieli. Jeśli autor dowie się, co skłoniło ich do abdykacji i wejścia napowrót w obręb życia normalnego, — podzieli się wiadomością tą z czytelnikami.

Tymczasem niech mu dozwolonym będzie rozpocząć opowieść jednego z epizodów, które specjalnie pociągnęły go swym czysto paryskim charakterem szczegółów i dziwacznością kontrastów.

Paryż 1831.

FERRAGUS, WÓDZ POŻERACZY.

Istnieją w Paryżu ulice, mające opinię fatalną, jak napiętnowany człowiek; istnieją też ulice uważane ogólnie za przyzwoite, następnie

nowe ulice, którym publiczność nie zdążyła jeszcze wyrobić opinji, ulice mordercze, ulice starsze, niż najstarsze z wiekowych dam, ulice, znajdujące się w ogólnem poszanowaniu, ulice robotnicze, pracowite, handlowe. Jednem słowem ulice Paryża obdarzone są zaletami ludzkimi, a fizjonomja ich wywołuje w nas pewne uprzedzenia, których nie potrafimy przezwyciężyć. Istnieją ulice podejrzanej konduity, na których nie chciałbyś mieszkać, czytelniku oraz ulice, chętnie wybierane przez ciebie. Niektóre ulice, jak naprzykład ulica Montmartre mają piękną głowę a wylot na podobieństwo rybiego ogona. Ulica Pokoju jest szeroka, wielka, lecz nie budzi tych wdzięcznych i wzniosłych myśli, które opanowują przechodnia na ulicy Królewskiej; brak jej też tej powagi, która panuje na placu Vendôme. Jeśli, przechadzając się po ulicach wyspy Ś-go Ludwika, poczujecie nerwowy smutek, nie szukajcie przyczyn jego w przeżyciach wewnętrznych, lecz jedynie w ponurym nastroju domów i wielkich odludnych pałaców. Wyspa ta jest Wenecją paryską. Plac Gieldy jest zgiełkliwy, czynny, bezwstydy; jest piękny tylko przy świetle księżyca, o drugiej w nocy; w dzień jest on wcieleniem gorączki Paryża, w nocy jest on okazem architektury greckiej. Ulica Ś-go Honorego jest znów ulicą niecną. Wznoszą się tam podejrzane domki o paru oknach a na każdym pięttrze gnieździ się rozpusta, zbrodnia, nędza. Wąskie uliczki, wystawione na północ, do których słońce zagląda ledwie trzy lub cztery razy do roku, są mordercze. Ludzie mrą tam, jak muchy, ale sprawiedliwość nie wtrąca się dziś do ich zbrodni. Dawniej parlament niewątpliwie nakazałby naczelnikowi policji, by zgromił je należycie i wydałby przeciw nim wyrok, podobnie jak przeciw penekom palestry w Beauvais. Jak dowiódł niejaki pan Benoiston de Châteauneuf, śmiertelność na ulicach tych dwakroć przewyższa śmiertelność na innych ulicach. Wreszcie, ulica Promeuteau jest jednocześnie mordercza i rozwięzła. Określenia te, niezrozumiałe poza Paryżem, trafią napewno do przekonania ludziom myślącym i obserwującym, ludziom, którzy, przechadzając się po Paryżu, umieją czerpać z pomiędzy murów jego poezję, rozkosz, masę ulotnych wrażeń, ludziom, dla których Paryż jest największym z potworów; tu modny i świeży, jak piękna kobieta; owdzie stary, zbiedzony; gdzieindziej błyszczący, jak nowy pieniądz, lub elegancki, jak modnisią. Tak, to olbrzymi potwór!

(d. n. c.)

WARUNKI PRENUMERATY „ZŁOTEGO ŁOGU“:

W Warszawie	rocznie rb. 6.— półr. rb. 3.— kwart. rb. 1.50
W Królestwie i Cesarstwie z przes. poczt.	„ „ 7.— „ „ 3.50 „ „ 1.75
Za granicą i za oceanem	„ „ 10.— „ „ 5.— „ „ 2.50
Za odnośnienie do domu 15 kop. kwartalnie.	Numer pojed. kop. 15. Zmiana adresu — 20 k.

CENA OGŁOSZEŃ: Na 1 str. okładki 60 kop. Na 2 str. okładki, przed tekstem 40 kop. Nadesłane, w tekście—75 k. Reklamy—40 k. Ogłoszenia na 3 str. okładki 20 k. Na 4 str. okładki—30 k. Ogłoszenia obliczają się na petit.

Wydaw. „Warszawska Spółka Nakładowa“.

Redaktorka odpowiedzialna Izabela Arturowa Gliszczyńska.

Kierownik literacki Wacław Grubiński.

Redakcja i Administracja: Warszawa, Królewska 27. Telefon 152-05.

Druk L. Billińskiego i W. Maślankiewicza, Nowogrodzka 17.